

Rozmowa z Krystyną Jandą, także jako reżyserem i producentem prezentowanych w Teatrze Małym spektakli Teatru Polonia: „Ucho, gardło, nóż” i „Stefcia Ćwiek w szponach życia”

Talia z niewiadomą

W swoich rozlicznych wywiadach odpowiedziała pani na wszystkie pytania, jakie można pani zadać. Chciałabym zatem prosić o rozwinięcie kilku myśli, które tam się pojawiły, ale jakby nie do końca zostały wypowiedziane. W jednym z wywiadów powiedziała pani: „Byłam młodą aktorką, w której szalał ocean”. Co jest dziś w Krystynie Jandzie, 25 lat później?

- W tej chwili to jest rzeka uregulowana. Myślę, że jestem świadomą aktorką, która wie, czego chce, ma sprecyzowane gusty i warsztat zawodowy, który pozwala „nie szarpać się na marne.” Jestem spełniona zawodowo, co daje elastyczność i odwagę, a zawód, który uprawiam prawdziwie mnie zachwyca w dalszym ciągu. Jestem uspokojona. Nie mam już większych „histerii”. Kiedyś mi się wydawało, że świat się wali, gdy coś się nie udawało, a teraz już wiem, że jak coś się nie udaje, to jest po temu jakiś powód. I ja ten powód potrafię rozpoznać. Po prostu przestałam poruszać się po omacku i tylko intuicyjnie. Zdobyłam doświadczenie i w tym tkwi sekret mojej harmonii zawodowej i pogodzenia z klęskami oraz ewentualnymi sukcesami.

Powiedziała też pani, że boi się stracić aktualność. Że jest wielu aktorów, których pani sama określa jako „były aktor”, mimo że grają dużo. Co to zatem znaczy „były aktor”?

- To aktor, który posługuje się językiem przekazu niezrozumiałym dla nowych pokoleń widzów. Aktor posługujący się rodzajem przekazu, który do ludzi już nie trafia. Ale to bardzo łatwo można sprawdzić. Dlatego właśnie

zawsze mam monodram w swoim repertuarze. Monodram to swoisty barometr. Kiedy gram sama, publiczność odpowiada mi na pytania, czy środki, którymi się posługuję skupiają uwagę widowni, czy mój język jest silny, przyciągający uwagę i czy przekazują dokładnie te nastroje i emocje historii, które zamierzałam.



W 2006 roku widzowie w Teatrze Małym oglądali Krystynę Jandę w monodramie Vedrany Rudan „Ucho, gardło, nóż”. Monolog Tonki Babić – córki Chorwatki i Serba - której wojna w byłej Jugosławii dostarczyła morza cierpień - potrafił widza wgnieść w fotel. Krystyna Janda wyreżyserowała i wyprodukowała to przedstawienie w swoim Teatrze Polonia.

Foto: Robert Jaworski

Myślałam, że jak ktoś traci aktualność, to przestają do niego płynąć propozycje. Przystaje się dzwonić do aktora.

- Różnie z tym bywa. Aktorzy grają z bardzo wielu powodów. To trudna kwestia do wyjaśnienia. Ja sama - kiedy reżyseruję i obsadzam role - często przypominam sobie, że kiedyś był taki aktor czy aktorka, którzy by się świetnie do czegoś nadawali, znam ich role sprzed lat, wydaje mi się, że nic się nie zmieniło, tymcza-



Krystyna Janda w „Marii Callas – Lekcji śpiewu” w reż. Andrzeja Domagalika.

„Przez dwie i pół godziny Janda-Callas (świetnie ucharakteryzowana i ubrana) panuje niepodzielnie nie tylko nad swoimi uczniami (...), ale i publicznością, którą traktując jak słuchaczy lekcji włącza do gry i podporządkowuje. A nawet więcej: potrafi wywołać u niej pożądaną w danej chwili reakcję. (...) Co ważne, Janda gra postać primadonny ze szlachetnym umiarem, odchodząc w dużym stopniu od osobistego brzmienia wielu poprzednich ról, właściwej sobie spontaniczności, a nawet nadpobudliwości, po których bezbłędnie daje się rozpoznać jej 'kobiety zawiedzione.' (Aleksandra Rembowska, „Teatr”, 1997, nr 10)

Te same wrażenia odnieśli widzowie w Teatrze Małym.
Foto: arch. Teatru Powszachnego

sem spotykam tego kogoś i okazuje się, że to człowiek kompletnie inny, zmieniony, zawiedziony czy o odmiennym guście, czy choćby wypalony zawodowo. Efekty w tym zawodzie zależą od tak wielu czynników, a aktor jest tak delikatnym i wrażliwym instrumentem, że

wystarczy zły okres w życiu, inny partner życiowy i wszystko się zmienia, zawodowo także. A po drugie są aktorzy, którzy jakby tracą świadomość tego, co się dzieje dookoła. A to już gorzej, bo ten zawód wymaga wiedzy o tym, co się dzieje wokół, jak grają inni, co myślą, jakie są nowe rzeczy, jak się zmiana estetyka... A wszystko po to, żeby być blisko widowni.

Teatr to elitarne miejsce, a jego publiczność to nie są przypadkowi ludzie. To jest wymagające grono, z którym trzeba wiedzieć, jak rozmawiać, by je zadowolić.

Myślę, że osobie tak świadomej niebezpieczeństwa utraty aktualności to chyba nie grozi.

- Ach, dotknąć to może każdego. Jestem aktorką, która dziś już nie jest w stanie oddać temu zawodowi tak wiele emocji, jak kiedyś. Uważam jednak, że można to samo przekazać oszczędniejszymi środkami wyrazu, z tym samym ładunkiem emocji, ale nie „objając się tak o ściany”, jak to się robi w młodości. Teraz już wiem, że czasem dużo lepiej jest celniej wypunktować, zwolnić i coś uwypuklić niż sięgać do środków bezpośrednich. Dziś, po tylu latach pracy, patrzę na grę młodych aktorów ze wzruszeniem, nostalgią za moją młodością i bezkompromisowością zawodową u początków, ale też wiem, że gdyby była taka potrzeba, jestem w stanie zagrać dokładnie to samo, ale inaczej.

Ciągle nie rozumiem, jak przy takiej świadomości można stracić aktualność.

- Żeby być aktualnym, trzeba cały czas choćby zaskakiwać. A ilu na to stać? Ilu stać na ryzyko? Łatwiej robić rzeczy sprawdzone.

Przyznała się pani kiedyś, że jako młoda aktorka – w roli Anieli w „Ślubach panieńskich” – miała ciągle potyczki z wierszem Fredry.

Nie lubi pani literatury staropolskiej?

- Uwielbiam. Natomiast chodziło o to, że mówiłam wiersz Fredry bardzo od siebie, nie uwzględniając praw wiersza. Dążyłam do tematu, nie utrzymując jego rytmu, - a co się z tym wiąże - piękna. Żeby przekazać tekst, łamałam średniówki, łamałam rymy. Tak strasznie się dobijałam do publiczności, że tratowałam wszystko. I nie ma to nic wspólnego z aktualnością, a tylko z bezwzględnością młodości i nieuszanowaniem tradycji.



Zdjęcie ze spektaklu „Maż i żona” Teatru Powszechnego, w reż. Krzysztofa Zaleskiego. Krystyna Janda wraz z Joanną Żółkowską, Januszem Gajosem i Piotrem Machalicą. Przedstawienie to w Tychach pobiło frekwencyjne rekordy! Foto: Renata Pajchel

Powiedziała pani, że kobietami w Polsce nikt się nie zajmuje i że mąż pani radzi założyć partię Godność Kobiety Polskiej. Tymczasem pani sama przyznaje się do złośliwości wobec kobiet...

- Te sformułowania padły w różnych kontekstach. Mówiąc o tym, że nikt w Polsce się kobietami nie zajmuje, myślałam o filmie, teatrze. Telewizja i pisma kobiece zajmują się kobietą na poziomie, który często kobiety obraża.

Partia Godność Kobiety – to był żart. Kobiety przedstawia się w sposób szalenie uproszczony. Obraz współczesnej kobiety na ekranie jest żenujący. Od dawna nie było na ekranie kobiety mądrej, kobiety-intelektualistki, inteligentki, kobiety, która jest kimś. Pokazuje się albo jakieś garkoćki, albo przyglupy. I kiedy przeciw temu protestowałam, mój mąż się ze mnie śmiał i radził żartem założyć partię pod nazwą Godność Kobiety, a jeszcze lepiej - Godność Polskiej Kobiety. Partii nie zakładam, ale właśnie między innymi dlatego w moim teatrze, na tej maleńkiej scenie, którą nazwaliśmy „Fioletowe Pończochy” (bo tak nazywał się nurt wyzwolenia kobiet w plastyce na początku wieku we Francji) postanowiłam zajmować się współczesnymi kobietami, które oceniają świat i mają w nim coś do powiedzenia, jak na przykład bohaterka „Badań terenowych nad ukraińskim seksem” (wspaniała rola Katarzyny Figury w przedstawieniu Małgorzaty Szumowskiej). To opowieść o kobiecie ukraińskiej, która jest profesorem uniwersytetu amerykańskiego i ściąga do swojego wielkiego świata mężczyznę z Ukrainy. Ten jednak nie umie przeboleć tego, że ona zna język, że jest wspaniała i potrafi sobie radzić, a on nie radząc sobie z niczym postanawia ją za to ukarać. Bije, katuje i znęca się nad nią. A ona – poddaje się temu, uważając za naturalne prawo mężczyzny do bicia i karcenia kobiety za to, że wysuwa się przed niego.

Stefcia ze spektaklu „Stefcia Ćwiek w szponach życia” to z kolei ofiara tabloidów, kobieta, której ciotka wmówiła, że jedynym celem życia kobiety jest mężczyzna, małżeństwo. Ona w to wierzy i próbuje się dopasować kolejno do szczęcia

mężczyzn, ale żaden nie nadaje się nawet na półgodzinną rozmowę, a co dopiero na całe życie. Jeden zajmuje się tylko samym sobą, drugi zawsze pijany, trzeciego interesuje jedynie leczenie jego własnych kompleksów... Ona sama ma rozliczne problemy i w naturalny, prosty sposób dąży do oswojenia sobie świata, a ci mężczyźni tylko jej w tym przeszkadzają, ale pragnie sprostać wymaganiom. Bardzo to zabawny i tekst, i spektakl.

W krajach, które dołączyły do Unii Europejskiej, w Polsce także, pojawiło się masę świetnych książek pisanych przez kobiety i opowiadających o pokoleniu 30-35-latek, które stają na nogi w tym nowym świecie stawiającym zupełnie inne wyzwania. Te wszystkie książki – bałkańskie, słowackie, ukraińskie, białoruskie – opowiadają o tego rodzaju problemach. Za każdym razem jest to opowieść o kobiecie, która zмага się i z nowym wyzwaniem, i z mężczyzną jednocześnie. Są to opowieści o tym, jak pogodzić dwie rzeczy: być uległą, tradycyjną kobietą podporządkowaną decyzjom i stylowi życia narzuconym przez otoczenie i zwyczaje i jednocześnie być dyrektorem, menadżerem, świadomym członkiem społeczeństwa, świadomą narodowościowo i politycznie...

Czyli w pani teatrze Grochola raczej nie zaistnieje...

Kasia napisała wiele niezwykle interesujących opowiadań. Są i u niej rzeczy do zrobienia w teatrze. Filmy oparte na jej twórczości mają jednak trafiać do masowej publiczności. Do publiczności, która jest tak zagoniona codziennością, że chce się już tylko i wyłącznie zapomnieć i bać. I z myślą o zaspokajaniu takich potrzeb robi się z jej tekstów takie właśnie produkty filmowe. **Powiedziała pani również, że dobrze się czuje w nowych czasach dyktatury pieniądza i publiczności. Wielu reżyserów –**

mając właśnie świadomość takich czasów – wybiera gatunki lekkie, łatwe i przyjemne, bo tego oczekuje publiczność. Pani natomiast nie usiłuje wyobrazić sobie tego, czego oczekuje publiczność – bo można się pomylić – tylko próbuje zaproponować publiczności coś, co pani sama uważa za ważne.

- Na razie próbuję. I robię to, ryzykując wszystkie pieniądze, które włożyłam w ten teatr. Ale mówię otwarcie: jeśli mi się nie uda, to będą tu grać inni.

Za panią jednak pierwsze doświadczenia z pierwszych premier...

- Bardzo to jest różnie. Na razie mamy publiczność. Małą salę co prawda, ale wiecznie jest pełno. Przychodzi także moja publiczność, ta dawnej z Teatru Powszechnego, wierna mi. Nawet jak zaproponuję bardzo trudny tekst, jak „Ucho, gardło, nóż”, to to budzi zainteresowanie. Ale zobaczymy, co będzie dalej. To, co robi Kasia Figura to szalenie trudny tekst, a „Darkroom” Przemysława Wojcieszka jest bardzo niepoprawny politycznie. „Miss HIV”, „Skok z wysokości”, „Listy między niebem i piekłem” spektakl Ewy Kasprzyk, Nasze „Karaoke w tatrze” prowadzone przez Magdę Umer, koncerty gwiazd, Shirley Valentine, to talia kart rozłożona przed publicznością, Zobaczymy, co będzie dalej...

Rozmawiała Jolanta Pierończyk

Postscriptum

Otwarcie dużej sceny Teatru Polonia planowane jest na 10 listopada 2006. Wystawione zostaną premierowo (w gwiazdorskiej obsadzie) „Trzy siostry” Antoniego Czechowa w reżyserii Natashy Parry Brook. Przedstawienie to już 11 grudnia zagości w Tychach!